Lwów, 22. Lipca Nr 87. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałec za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

IV.

(Ciąg dalszy).

Ale to wszystko, co uchodziło uwagi Kamila, po pewnym przeciągu czasu nie uszło uwagi rodziców. I najpierwej, jak to zwykle bywa, dostrzegła tej zmiany w córce stara pani Sieniawska. I z początku fenomen ten zdawał się jej jakąś dziwnie zawikłaną zagadką. Przychodziły jej na myśl różne a różne domysły a jej pamięć goniła za wszystkimi młodymi ludźmi, których kiedykolwiek zdarzyło się widzieć jej córce, lecz przecie nareszcie jakiś drobny wypadek, jakieś zmięszanie się Hani na wspomnienie Kamila, naprowadziło ją na domysł prawdziwy. I poczęła o tem poważnie i wszechstronnie rozmyślać troskliwa matka. Więc przedstawiała ona sobie najdziwaczniej co widziała na własne oczy, lub czego się mogła domyśleć, potem to, co mogło potępiać tak wczesną miłość jej jedynaczki, potem to znowu, co ją uniewinniało, a zebrawszy te wszystkie argumenta, poczęła je porównywać i równoważyć ze sobą, usiłując koniecznie tym sposobem do jakiegoś ostatecznego przyjść wniosku. Ale głowa pani archiwiściny, chociaż bez wątpienia niepospolita w gospodarskim zawodzie, tutaj tak się obłąkała w tych argumentów chaosie, że na żaden sposób nie mogła się zdecydować, czy ma córkę potępić, czy w jej stanąć obronie. I kto wie do jakiego stopnia pogmatwania była-by ta robota doprowadziła jej władze moralne, gdyby nie to, że nagle i niespodziewanie stanęło jej na pomocy jej własne serce. A serce matki czyż może się choćby najcichszym głosem przyczynić do potępienia dziecięcia? — nie! nigdy. Otóż i tutaj serce macierzyńskie uniewinniło od razu niewinną dziecinę a podniosłszy tryumfujący głos swój nad wszystko, pociągnęło zaraz i rozum do swojej służby. I tak potem już w bardzo krótkim czasie wyrozumowała sobie pani Sieniawska, że Hania, chociażby niewiedzieć jak była zakochaną w Kamilu, nic a nic temu niewinna, bo serce jest wolne, n i e z n a c o t o p a n y, jak mówiła piosnka z jej czasów. Usprawiedliwiając dalej to niewinne uczucie, znalazła ona, że Kamil jest wcale godnym nawet i najgorętszego uczucia, bo jest chłopcem nieposzlakowanie moralnym, tak zawczasu już statecznym i jak mąż dojrzały poważnym, pilnym i pracowitym a nad to wszystko jeszcze tak znakomicie jenialnym, że już dziś, siedząc jeszcze na ławach szkolnych, stał się przedmiotem powszechnego uwielbienia a nawet podziwu. Potem snuło jej się to wszystko po głowie, co o nim różni jego wielbiciele mówili, czem jest już dzisiaj i czem to on kiedyś być może! I tak nitka po nitce, przyszła ona nakoniec do zdania: że kiedy tak Bóg dał, to niech i tak będzie, bo kto wie, gdzie dla kogo jest szczęście przeznaczone. Ale że w jej głowie nie powstała jeszcze nigdy myśl żadna, ani w jej sercu się nie zrodziło uczucie, ażeby się zaraz nie poczuła do obowiązku wyspowiadania się z tego swojemu mężowi, — więc i teraz przeszła ona natychmiast na drugą stronę dworku, ażeby mogła z małżonkiem swoim pomówić na osobności.

A działo się to już w zimie, tak prawie na dwie niedziele przed świętami Bożego Narodzenia, i było to już około godziny szóstej wieczornej, i ciemno było na drugiej stronie. Ciemno, bo pan Sieniawski właśnie co był powstał od swego bióra, łojową świecą blaszanym kapturkiem zagasił i przekrzywiwszy furażerkę na prawe ucho, usiadł był przy kominie, na którym tylko jedna dogorywała głowienka. Trzymał on w swoich rękach wielki worek z grubo pokrajanym tytuniem i fajkę drewnianą, srebrną zaopatrzoną nakrywką, i patrząc nieruchomie oczyma w najjaskrawsze miejsce komina, właśnie kończył sprawdzanie ostatnie wniosku swojego o potomstwie któregoś z Sieniawskich, kiedy jego żona z nierozłączoną od siebie pończochą w ręku, weszła cichym krokiem do izby.

Nie chcąc od razu zaczynać od tego, z czem przyszła, nałożyła najpierwej jasny ogień na kominie, potem usiadła naprzeciw męża i spojrzała w twarz jego, ażeby się przekonać w jakim jest dzisiaj humorze, potem westchnęła kilka razy głęboko, a nareszcie przemówiła obojętnych słów kilka, ażeby konwersacyą zawiązać. A kiedy się już zapewniła, że pan Sieniawski acz nie najlepiej, ale jednak i nie najgorzej jest usposobiony w tej chwili, rzekła do niego już śmielej:

— Mój Domku, chciałam się cię o coś zapytać.

— Ha! pytaj, wszak pytać nie wzbronno.

— Otóż chciałam się ciebie zapytać, czy uważałeś ty

to, jak nasza Hania zmieniła się od jesieni, jak zmizerniała i zbladła, zesmutniała, wychudła i zgoła stała się całkiem niepodobną do siebie.

— A uważałem, i bardzo, — odpowiedział Sieniawski, — i cóż to temu jest za przyczyna?

— Co za przyczyna? ja nie wiem z pewnością, ale zdaje mi się, że ją odgaduję.

— Odgadujesz? więc cóż to?

— Zdaje mi się, że to biedne dziecko zakochało się.

— Zakochało? a w kim-że?

— Zdaje mi się że w panu Kamilu.

— W Kamilu! — zawołał pan Sieniawski, prostując się na swojem siedzeniu, a to głupia! mospanie! I jakżeś ty mogła na taką niedorzeczność pozwolić?

— Ale moje dziecko! Gdzież ja-bym też pozwalała na takie rzeczy? To się stało pomimo mojej woli i wiedzy.

— Pomimo twojej wiedzy! to jeszcze gorzej! to obydwieście winne, — rzekł na to pan Dominik, powstając od komina, — Hm! bo do czegóż też to podobne, zakochać się w mleczaku, który jeszcze jest w szkołach! Co to ludzie powiedzą na to? Co powie jego ojciec, którego wprawdzie nie znam, ale który zawsze jest ojcem? Hm! piękna mi dla studentów kwatera!

— Mnie się zdaje mój Domku, — odezwała się z nieśmiałością matka Hani, — że tu już nie ma co mówić o tem co się stało, bo co się stało, to się nie odstanie; ale o tem trzeba mówić, jak na to poradzić?

— Jak to radzić? zakazać i basta!

— Ach! zakazać moje dziecko, czyż-to podobna? Czyż serce usłucha?.... Hania, ja wiem, anielskiej dobroci to dziecko, nie umie ona się nam w niczem sprzeciwiać, i jestem tego pewną, że wszystko zrobi, co jej tylko każemy. — Ale czyż jest ona w stanie więcej zrobić, niż robi? Wszakże cierpi i milczy i teraz.

— Cierpi, powiadasz? — zapytał pan Dominik, usiadając na powrót na przeciwko swej żony.

— Ach! pewnie, że cierpi, wszak widać to po niej.

— Cierpi, widać po niej, prawda, — powtórzył ojciec. — No! dobrze, ale cóż na to poradzić? Wymówić pomieszkanie Kamilowi, he? to może najlepiej?

— Nie mój mężu, ja myślę inaczej.

— Więc cóż myślisz? to powiedz.

— Ja myślę, że nie trzeba tej rzeczy zabijać od razu, bo to, któż wie, jakie-by mogło za sobą pociągnąć następstwa? Mogła-by się zagryść biedaczka do reszty i umrzeć z rozpaczy. Wszakże i to bywa w miłościach. Ale ja myślę, że trzeba się starać tę rzecz ułagodzić.

— No dobrze, bardzo dobrze, — rzekł na to coraz głębiej ten wypadek uczuwający Sieniawski, — ale jakże to zrobić?

— Bo widzisz, moje dziecko, — prowadziła dalej rzecz swoją ośmielona małżonka, — z dwóch przyczyn należało-by tak a nie inaczej tu sobie postąpić.

— *Primo?*

— *Primo,* że zdrowie dziecka naszego nam milsze nad wszystko.....

— Ale nie ma co mówić, prawda! a *secundo?*

— *Secundo,* że to jest materya tak delikatna, że trzeba z nią bardzo sobie poczynać ostrożnie. Ja wprawdzie nie pochwalam tego przedwczesnego zakochania się Hani i Bóg widzi, czem-bym za to nie zapłaciła, ażeby tego nie było. Ale znów z drugiej strony myślę tak sobie: Kto wie, co tam pan Bóg komu przeznaczył! Pan Kamil wprawdzie dziś jeszcze jest w szkołach i lat jeszcze potrzeba na to, ażeby z tych szkół przyszedł do chleba. Ale pan Kamil, jak wszyscy powiadają, to brylant w całem kolegium i jeżeli kto pójdzie wysoko, to on pewnie najwyżej. Oprócz tego wszystkiego pan Kamil jest jedynakiem u ojca a ojciec ma wioskę. — Więc jakkolwiek tam pan Bóg mu raczy poszczęścić, zawsze to nie jest lada co ten pan Kamil.

— Ha! zapewne! nie ma co mówić, ale to, moje serce, wszystko rzeczy bardzo dalekie, to pałace w powietrzu, to zamki na lodzie! Ho ho ho! mospanie! teraz logika, a gdzie fizyka, a gdzie jus dopiero? Sześć lat moje dziecko, musi bębnić w kodexa a jak dobrze wybębni, to jeszcze nic nie ma. Bo potem następują examina, a praxis! ho ho ho! daleko to, bardzo daleko! A prócz tego, taż to mleczak, u mleczaków pstro w głowie, co rok to co innego się roi, dobrze jeszcze, jeżeli nie co miesiąc albo i co dzień. Więc już co to, to wcale mi się nie zdaje.

Tu nastąpiła długa dysputa pomiędzy rodzicami Hani, która długo się przeważała to w tę, to w ową stronę. — I inną rąžą byłby pan Dominik pewnie nie odstąpił od swego zdania, bo panem był w domu i dla samej zasady nie lubiał ustępywać nikomu; ale dzisiaj okazał on się dziwnie jakoś miękkim i słabym. Cierpienie dziecka zaatakowało skutecznie jego nieugięty charakter i przemówiło głośno do jego serca, a to nawet tak głośno, że przygłuszyło jego rozum zwyczajny i zbiło go z tonu zupełnie. Więc bronił się tylko i to z widoczną niechęcią i dał się nakoniec zwyciężyć, a zwyciężony raz, dał się zawieść już wszędzie — przez konsekwencyę. Wyperswadowała mu więc pani Sieniawska, że miłość Hani, chociaż nie koniecznie potrzebna, trafiła jednak na przedmiot najstósowniejszy, że Kamil byłby nietylko dobrą, ale nawet bardzo świetną partyą dla Hani, czemu się wprawdzie cokolwiek oponował pan Dominik, mówiąc: — No nie bardzo! bo Sieniawscy nie dadzą sobie w niczem imponować Łaskim! — Ale jednak nakoniec pozwolił. Dalej wmówiła w niego, że jakkolwiek to rzeczy dalekie, jednak bardzo do prawdy podobne. A nakoniec przekonała go jak najdowodniej, że

temu wypadkowi nie potrzeba przeszkadzać, ale owszem wszelkiemi siłami pomagać.

— Więc potrzeba koniecznie, ażebyś z Kamilem otwarcie pogadał, — zakończyła pani Sieniawska, przybierając głos stanowczy i cokolwiek wyniosły, którego niemogła nie przybrać, kiedy się jej zdarzyło po raz pierwszy w życiu swego męża zwyciężyć.

— A! to dobrze! A cóż ja będę z nim gadać?—zapytał pan Dominik, kręcąc się na miejscu i nie umiejąc połapać się z tem, że się dał tak niespodziewanie osiodłać; cóż będę gadać? czy to mnie wypada?

— Ale moje dziecko, nie idzie tu o to, ażebyś panu Kamilowi swoją córkę w małżeństwo natrącał. Było by to niezgrabnie, i niepolitycznie, i ja przecie nie jestem tak naiwna, ażebym ci to doradzała. Ale trzeba z nim koniecznie pogadać z dwóch przyczyn.

— *Primo?*

— *Primo*, żeby go wymiarkować z daleka, co też on myśli o Hani? Bo przyznam ci się, że tego nie pojmuję wcale, jak on jest dla niej oziębły, jak nigdy do niej nic nie przemówi, jak nawet na nią nie spojrzy. A jużciż proszę ciebie, jakkolwiek tam jest, miała bym bardzo złe o nim wyobrażenie, gdyby on, wiedząc o tem, jak to dziecko jest usposobione dla niego, nie odpowiedział jej podobnem uczuciem.

— A zapewne, a *secundo?*

— *Secundo*, że mi właśnie tu chodzi o Hanię. Bo ta biedna dziewczyna, jeżeli się tak martwi i gryzie, tak zbladła, zmizerniała i schudła, to pewnie nie dlaczego innego, tylko dla tego, że widzi oczewiście, jak on dla niej oziębły.

— A zapewne.

— Otóż potrzeba z nim pogadać koniecznie, trzeba go delikatnie przymusić do tego, ażeby był dla niej grzeczniejszym, trzeba go jakoś do niej ośmielić... A jak się to stanie, to potem pomału wszystko pójdzie jak z płatka i Bóg da, dobrze będzie. A nie będzie nic z tego, to się przynajmniej Hania uspokoi cokolwiek, przyjdzie jakoś do siebie, nabierze sił i rzeźwości, i jeżeli tego będzie potrzeba, to łatwiej potem zapomni.

Tak przeprowadziwszy rzecz swoją do porządnego końca, wyszła z pokoju męża, a jak to kobietom zwyczajnie ze wszystkiem jest pilno, poszła natychmiast do pokoiku Kamila i rzekła mu:

— Panie Kamilu, mój mąż pana prosi na moment do siebie.

Pan Kamil siedział właśnie podówczas przy swoim stoliczku sosnowym, na którym leżały porozrzucane papiery i książki. Przy nich stał brzuchaty kałamarz drewniany z piaseczniczką, swą siostrą rodzoną. Z pomiędzy xiążek wyglądała kościana rękojeść zardzewiałego sztyletu, (jedyna broń, w której miał upodobanie Kamilek,) około kałamarza walały się w ostrokątnym nieładzie pióra gęsie, (gęsiemi jeszcze naonczas pisano,) a nad tem wszystkiem na wysokim klocku drewnianym leżała trupia głowa, własnoręcznie przez Kamila jeszcze w jesiennej porze z cmentarza przyniesiona. Przed tą trupią głową gorzała w tej chwili w blaszany lichtarzyk oprawna mała świeczka łojowa, nad której słabym czerwonawym płomykiem podnosił się wysoki knotek z okrągłą u góry pałeczką, skąd poznać można było, że młody filozof, acz miał xiążkę jakąś przed sobą i zwiesił nad nią głowę na pięściach opartą, jednak już w tej chwili nie czytał, tylko bujał gdzieś myślą po tych miejscach dalekich, w które go pociągnęła za sobą wierszowana treść xiążki. Jaka to była xiążeczka, trudno było dojrzeć przy słabym płomieniu długo nieobjaśnianej łojówki. To wszakże widać było wyraźnie, że Kamil, jak tylko ruszenie klamką i tuż zaraz głos pani Sieniawskiej usłyszał, zerwał się ze stołka i najpierwej xiążeczkę porywczo wsunął za nadrze, potem zaś stanął jak wryty, z wzrokiem obróconym ku drzwiom, już natenczas na powrót zamkniętym i z głową zamyśloną tak samo, jak gdyby jeszcze wciąż siedział nad xiążką. Lecz po chwili się zbudził, przetarł ręką oczy i włos rozpierzchniony na głowie poprawił a przypomniąwszy sobie, że go pan Sieniawski zaprasza do siebie, nie pomału się temu zadziwił, bo na żaden sposób się niemógł domyśleć, czego by chciał od niego Sieniawski. Ale przyzwyczajony z dziecka, nie sprzeciwiać się nigdy roskazom starszych, lubo duch jego często się przeciw temu oburzał, zgasił świecę i przeszedł przez sień ciemną na drugą stronę.

Tam w tym samym pokoju, gdzie dopiero co się odbyła małżonków rozmowa, pan Dominik przechadzał się od kąta do kąta i z wielką pracą i natężeniem myślał nad tem wszystkiem, co w tej chwili usłyszał od żony. Ostatnie argumenta pani Sieniawskiej brzmiały mu jeszcze w uszach pełnemi głosami, decyzya żony, że potrzeba z Kamilem pogadać otwarcie, nie mogła mu się w żaden sposób usadowić na mózgu i dziwnie mu jakoś te daty się krzyżowały pod czaszką. Latało zaś nad tem wszystkiem jak gdyby niedoperz to przekonanie, że włożono na niego obowiązek, który wprawdzie zdawał mu się na oko koniecznym, ale którego on ani sam sobie utworzył, ani zaaprobował, co mu się jeszcze nigdy nie wydarzyło. Staruszek więc chodził coraz prędszym krokiem po izbie i coraz częściej przeciągał furażerkę z ucha na ucho, co było niezawodną oznaką, że się całkiem nie może połapać ze sobą. — A w tem drzwi się rozwarły i wszedł Kamil do izby. Obaczywszy Kamila, stanął on na środku niepospolicie zdziwiony, i wpatrzywszy się w niego nieruchomemi oczyma, spytał jąkając się:

— A... a... a... aspan... co każesz?

— Pani mi powiedziała, że pan mnie zaprasza do siebie, — odpowiedział Kamil, stając w zwyczajnej swojej pokornej postawie tuż przy kominie.

— A.... a.... tak.... tak... prawda... siadaj-że aspan, — wyjąknął na to staruszek i zaczął znów chodzić po izbie.

Tu miała się zacząć pomiędzy dwoma teoretykami, zupełnie świata nieznającymi, rozmowa o rzeczach praktycznych i jak najzupełniej światowych, obaczmyż więc, jaka to była rozmowa.

— Widzi aspan, — odezwał się po chwili Sieniawski, jąkając się, odchrząkując i ciągle coś manewrując z furażerką, — widzi aspan, hm!.. ja to chciałem aspanu powiedzieć... hm!... że nam Hania trochę zasłabła.

— Zasłabła? — rzekł na to Kamil, nie rozumiejąc co ma znaczyć takie zawiadomienie, — proszę pana, to możeby pójść po doktora.

— Ale nie.... o! wcale! hm!... bo to kobiety, to różne mają słabości hm! na które niekoniecznie zaraz doktora.

Tu już zgłupiał Kamil do reszty, lecz patrzał tylko na Sieniawskiego i milczał.

— Hm! — zaczął znowu Sieniawski, — bo to są choroby fizyczne i choroby... hm! jakże-by tu aspanu powiedzieć... i choroby moralne! o! choroby moralne.

— Więc cóż pannie Annie brakuje?

— Jej brakuje... hm!.. jakże-by to powiedzieć.. hm! hm!. ot przyznam się aspanu, że ja sam niewiem, co jej tam brakuje... ej! bo nie wiem doprawdy, dlaczego mojej żony tu niema! (C. d. n.)

Ryby i Pudel.

W pewnym stawku, na ustroni,
W czystych wód toni,
Mnóstwo się ryb namnożyło,
Gdzie pluskając się długo ze swobodą miłą,
Wolne od napadów wroga,
Nie znały co strach i trwoga.
Aż oto dnia pewnego, coś z szumem buch w wodę.
Jakaś kudłata poczwara,
Ryby natychmiast w nogi, i stare i młode
I rzekną potrwożone: „Czy to niebios kara,
Na nas niewinne dziś spada?
To straszydło od razu wszystkie nas pozjada“
Któż to był proszę, ów gość nieproszony?
Oto pudel wyuczony,
Któremu ktoś tam z pustoty,
Cisnął na dno pieniądz złoty.
Widząc go szczupak stary jak na wierzch wypływał,
Mędrzec co już w niejednej tarapacie bywał,
Nie tchórzcie głupie! zawoła:
To pies, on z was ni jednej zaszkodzić niezdoła.
Wskoczył tu, bo mu kazano,
A za to trzyma w pysku pieniądz co mu dano.

Powiem wam coś, lecz proszę niemówić nikomu.
Zjechałem wczoraj trafem do pewnego domu,
I któż tam był? zgadnijcie! Sprawnik w odwidziny!
Ztąd zaraz w całym domu strach i tartas wielki.
I czegoż to się trwożyć? rzeknę do drużyny,
A po cóż on przyjechał? Po co? Po rubelki.

A. P.

Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie.

(Ciąg dalszy).

Na ścianie nad łóżkiem wisiała gitara; obawiałem się, aby dotąd zajęty swą szklanką nasz współkolega Sz. nie zwrócił tam swego spojrzenia. Miał albowiem wielką passyą do muzyki i śpiewu. Żadnej gitarze, choćby o połowie strun tylko, ani żadnemu fortepianowi i najporządniej rozstrojonemu, w ciągu drogi całej nie darował. Znałem na pamięć wszystkie jego piosnki, a raczej po jednej lub parze zwrotek z każdej, które odrazu, jak nakręcona tabakierka wszystkie wygrywał, a nawet o powtórzenie tego samego nie pozwalał się długo prosić. Moja obawa była niepłonna; ledwie zobaczył gitarę pan Sz., zdejmuje ją ze ściany, a zrobiwszy grzeczność najstarszej z córek prożbą o zagranie czegoś, gdy ta zmieszana i zapłoniona odmówiła, sam rozpoczyna od najpierwszej zwrotki swójej:

Ponad horoju, ponad zełenoju, tam żenci żnut,
Popid horoju, popid zełenoju kozaki jidut, i. t. d.

Lecz na ten raz przydała się muzyka, bo widziałem radość na twarzy gospodyni i córek, gdy usłyszały głos dźwięczny koleżki, i śpiew może im znany, a wtej wiosce odludnej zapomniany oddawna. Uradowały się wszystkie, a ja dziękowałem koledze.

Dotąd nasza podróż w innej części świata nic jeszcze nie przedstawiała kaukazkiego. Lecz w następny dzień ledwieśmy wystąpili na otwartsze pole, rozpatrzyli się po okolicach, uderzyły nas widoki niezwykłe, dotąd niespotykane. To tu, to owdzie obszerna równina lub szereg pagórków, albo i gór ze śmiałym zarysem swych szczytów; to znów ciemniejszy lasek lub rzeczka zaczynały charakteryzować odmienną miejscowość. Nareszcie po gościńcu zaczęli przeciągać z arbami górale Zakubańscy: twarz ogorzała, w kosmatych popachach czyli czapkach, w czarnych burkach, stojący na przodku arby, i ciągle popędzający zaprzężone woły. Wieźli oni łopaty, niecki, widły, i inne narzędzia drewniane, z zakubańskich dębów i buków wyciosane, które w tych stronach ubogich w drzewo wymieniają za miarkę prosa lub pszenicy. W końcu Elborus wychylił gdzieś w stepach daleko podwójne śnieżne czoło. Otoż witamy Kaukaz, kres tylumiesięcznych trudów, pracy i niewygód. Wzrok nasz chciwie wpatrywał się w tego białego olbrzyma, co sterczał pod niebo, mieszając się z chmurami. Jakżeśmy byli niekontenci, gdy rychło obłoki, takież białe jak on, zasłoniły go przed naszym wzrokiem. Tak pragnęliśmy oswoić się z tym olbrzymem i ze zjawiskiem kraju, który miał być dziedziną długiego naszego w nim pobytu! Znowu się pole wyrównało, skryły się wyniosłe pagórki; znów tenże step równy, jednostajny, znów tylko upał południowy.

Nazajutrz po przenocowaniu w Moskowskiej, wiosce tejże fizyonomii co poprzedzające, po całodziennym przemarszu zbliżaliśmy się do Stauropola. Pożegnaliśmy ten Kaukaz

chłopski, rolniczy, ustronny, ten wstęp do Kaukazu prawdziwego, pełnego dziwów ciekawych i niebezpieczeństw, rozlegającego się szczękiem broni i hukiem armat; kończyliśmy podróż po tej części kaukazkiego kraju spokojnej, cichej, jak uciszone powietrze, co zwiastuje blizkie gromy i burze. Ktoby szukał na kuli ziemskiej ustronia zupełnie odludnego, oddzielonego od reszty świata, gzieby ani słodyczy związku społecznego, ani jego dolegliwości nie doświadczał; tu by powinien zamieszkać w cieniu morw i akacyi. Mieszkańcy tutejsi, gdyby nie to, że niedawno tu przyszli z gubernij wielkorossyjskich i świeżo mają w pamięci miejsca dawniej zamieszkiwane, żyjąc pośród dostatków darów przyrodzenia, przy zbyt ograniczonych potrzebach, zaledwieby może wyobrażali sobie, że jest jakiś świat ludniejszy, krzątający się, zabiegający, a pomimo tego nieraz cierpiący głód i niedolę. Tu zdają się być zupełnie zadowoleni tem, co im hojna daje ziemia. Zbywające płody, zboże i bydło odsyłają do Stauropola za ceny bardzo nizkie, aby z czasem było czem opłacić pogłówne, jedyny podatek na nich ciążący. O resztę nie troszczą się, mając własnego wyrobu płótno i odzież, przy obfitości chleba.

Stauropol leży w pięknem i górzystem położeniu, między dwiema rzeczkami Człą i Mutnianką. Różnokolorowe dachy na domach i cerkwiach, piękna zieloność drzew w ogrodach i na bulwarach, robią cudny ze Stauropola widok, tem więcej, im mniej spodziewany w tej odludnej ziemi. Miasto leży wzniesione na 179 stóp nad poziom morza; klimat jego przeto nie równiej chłodniejszy niż innych okolic tego kraju, któreśmy przebywali. Powietrze tu zdrowe. Grunt coraz bardziej się podwyższa, zwracając się ku Kubani, o 30 wiorst ztąd przepływającej, i formuje rozległą i wyniosłą płaszczyznę, z wierzchu której ochłodzone powietrze spływając na miasto, sprawia ten wiatr ciągle tu panujący. Mimo jednak górzystości miejsca, nie ma w blizkości źródeł, a woda studzienna gorzka i do picia niezdatna. Musieli więc mieszkańcy wodę dla siebie sprowadzić za pomocą rur od źródła, zwanego zdrojem Karabin, dającego początek Mutniance. Płynąca rurami świeża woda do miasta, zbiera się w dwoch rezerwoarach, w najdogodniejszych punktach urządzonych: jeden zbudowany kosztem kupca Tamamszewa, z fontanną w samym środku miasta; drugi dopiero w 1850 r. kosztem kupca Jakunczykowa urządzony, zaopatruje w wodę plac nazwany jarmarcznym.

Miasto dzieli się na górne, gdzie najpiękniejsze wznoszą się gmachy rządu gubernialnego, teatru i t. d. i na dolne, na którego głównej ulicy skupia się cały ruch handlowy. Tu stoją sklepy gościnnego dworu, tu magazyny, hotele i cukiernie, a przed niemi ciągnie się piękny i długi bulwar z lip i akacyi. Nad miastem dolnem wznosi się na górze wspaniały sobor z kamienną do koła balustradą, nad całą panujący okolicą swemi olbrzymiemi kopułami. Dzisiaj Stauropol ma kamienne trotoary, przynajmniej na główniejszych ulicach; lecz gdym pierwszy raz wszedł do tego miasta przed kilką laty, sławił się jak wszystkie miasta południowej Rossyi ogromnemi swemi błotami. Prócz bulwaru dla przechadzek mieszkańcom służącego, środek miasta ocienia piękny stary gaj, Babinowym zwany, którego niegdyś był własnością. Przedtem zaniedbany, obecnie ogrodzony i starannie utrzymywany. Co święto grzmi tu muzyka wojskowa do późnej nocy, a latarnie i lampy oświecają grupy przechadzających się. Obok tegoż gaju, za staraniem księcia Worońcowa, założony wzorowy ogród, zaopatrywany w najlepsze gatunki drzew owocowych, sprowadzanych z sławnych jego ogrodów krymskich. Ztądto szczepy i nasiona rozsyłane bywają w najodleglejsze zakątki Kaukazu. Godzien także uwagi założony w ostatnich czasach ogród morwowy za rzeką Człą, i urządzona szkoła dla kształcenia dzieci klass niższych w tej gałęzi przemysłu, tak odpowiedniej łagodności klimatu. Przemysł i handel niewiele jednak tu się rozwinęły dla braku komunikacyj wodnych. Kupcy stauropolscy ograniczają się zaopatrywaniem w płody i wyroby rossyjskie miejsc i fortec linii kaukazkiej, choć i pod tym względem ważniejszym punktem jest Georgiewsk, położony nieco bliżej ku gorom, o którego jarmarkach wspomnimy później. Stauropol bowiem nie jest ani środkiem gubernii, ani punktem zjednoczenia pokoleń kaukazkich: z powodu tylko zdrowszego klimatu, Georgiewsk musiał mu ustąpić pierwszeństwa. W roku 1850 miał Stauropol do 12,000 mieszkańców, z tych 7,000 mężczyzn, a 5,000 kobiet; 14 cerkwi grecko-wschodnich, 1 ormiańsko-gregoryańską i 1 rzymsko-katolicki kościołek. Piękne gmachy i szerokie ulice nadają wspaniały widok Stauropolowi, który razem z przedmieściami rozrzuconemi daleko naokoło, ogromną zajmując przestrzeń, przedstawia się wielkiem bardzo miastem. Prócz stannicy kozaczej, łączącej się z dolną częścią Stauropola, ciągnie się od zachodu po rozdołach przedmieście Worobjewka, od południa Sołdacka-słobódka, od północy Podgórne, śród ogrodów i gajów drzew morwowych, lip i akacyi. Dalej po za przedmieściami widać rozrzucone futory, piękne domki i wille z ocieniającemi je ogródkami.

Gdyśmy stanęli w tem ogromnem z pozoru mieście kaukazkiem, wcale jednak europejską mającem fizyonomią, po zwykłych przedstawieniach się i zameldowaniach właściwym naczelnikom, zaprowadzono nas na Worobjewkę, gdzie tydzień cały mieliśmy stać na kwaterach. Lecz na wstępie zaraz do przedmieścia, uderzył nas domek o jasnych oknach, odróżniający się od innych ogrodkiem z kwiatami i szczepami, który go okolał. Postanowiliśmy tu stanąć za opłatą, zrzekając się dobrowolnie kwater bezpłatnych, które po miastach zawsze miewaliśmy niezupełnie dogodne.

Jakież było nasze zadziwienie, gdy wstępując w progi, spostrzegliśmy obraz Matki Najświętszej Ostobramskiej, i

dzieci biegnące do matki, a wołające po polsku:„ Mamciu, jacyś panowie idą.”

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — wyrzekłem za ukazaniem się z alkierzyka gospodyni domu.

— Na wieki wieków — odrzekła, skłoniwszy się z jakimś nieprzymuszonym wdziękiem, i odrazu nas tak ujęła, że bardzoby nam przykro było oddalić się ztąd bez skutku. Lecz zaledwieśmy zaczęli wyjawiać jej nasze żądanie, dziewczynki wybiegły do sieni, ujrzawszy wracającego ojca, wołając:

— Tatku, tatku! jacyś panowie do nas przyszli i chcą mieszkać przez tydzień, a mówią po polsku! (D. n.)

Potęga narodowa.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszą robotą na miejscu do kopania węgli przeznaczonem jest prześwidrowanie onego, w celu przekonania się o położeniu i objętości pokładów węglanych. Że zaś potrzeba się najczęściej wświdrować aż do głębokości 1000 stóp, więc takie poszukiwanie samo pożera już wielką kwotę, dochodzącą czasem do 10,000 lub 30,000 funtów szterlingów. Na rezultacie takiego dopiero poszukiwania gruntuje się plan całego zakładu. Następuje potem wykopanie szyby maszynowej, przeznaczonej do wyciągnienia wody z całego na kopalnię przeznaczonego obszaru. Jest to najtrudniejsza i najkosztowniejsza robota; ta bowiem szyba musi być koniecznie założona na największej głębinie pokładu węglanego. A że musi być obłożona w około od dołu do góry, a zatem w przestrzeni 1000 stóp głębokości, żelaznemi cylindrami od wody zabespieczonemi, założenie takiej szyby może kosztować 500,000, do miliona reńskich.

Potem kopią się dopiero jedna lub dwie szyby komunikacyjne, któremi to węgle z głębi na wierzch się dostają. Dalej wycinają się od spodu kopalni zacząwszy w samychże pokładach węglanych, ganki mające 8 do 9ciu stóp szerokości, a 7 stóp wysokości, o ile być być może horyzontalne, lub mało przynajmniej pochyłe, po których zakładają się żelazne koleje, przeznaczone do przewożenia węgli końmi, w ogromnych żelaznych wozach. Do tych głównych ganków przypierają różnokątnie boczne ganki jako właściwe miejsca kopalniowe do wydobycia węgli przeznaczone, ciągną się one po obu stronach w równem oddaleniu. I w nich są koleje żelazne, po których węgle dostają się do głównych szyb komunikacyjnych na małych wozach i taczkach ręką ludzką ciągnionych. Podczas gdy się odbywają te wszystkie roboty podziemne, na wierzchu znowu stawiają się inne potrzebne budynki i maszyny. W koło otworów szybowych, przygotowują się obszerne przestrzenie, żelaznemi blachami obite, przeznaczone na wysypywanie tamże dobytych z głębi węgli, zkąd znowu idą koleją do magazynów ładunkowych. Stawiają się dalej parowe maszyny, które pompują wodę i węgle dobywają z głębi lotem błyskawicy; aparata dostarczające robotnikom świeżego powietrza; zakładają się drogi kamienne albo nawet koleje żelazne prowadzące do najbliższego portu, rzeki, kanału, albo też istniejącej już handlowej kolei żelaznej. Budują się domy dla urzędników, dla nadzorców, a nawet jeżeli kopalnia oddalona od wsi jest, i dla robotników. Tym sposobem, zanim jeszcze pierwszy wóz z węglem dostanie się na wierzch, powstaje już wieś, czasem mieścina. Gdy już wszystko ukończone szczęśliwie, co czasem trwa trzy do czterech lat, ogłaszają dopiero dzień uroczysty, w którym pierwszy transport węgli, ma przynieść pierwszą nagrodę za tyle pracy wytrwałej, za tyle ofiar pieniężnych.

Taki dzień staje się świetnym festynem. Bandy muzyczne spuszczają do głębi; pierwszy wóz ładuje się wśród muzyki; radosny okrzyk kilkuset czarnych robotników, tam w głębi oznajmia chwilę pierwszego w górę transportu; na górze zaś przyjmuje go także muzyka, strzały moździerzowe i pstrokate tłumy przy otworze zgromadzone. Wytrwały przedsiębierca jest naturalnie królem tego festynu, a szczodrość jego bywa bez granic. Taki dzień świąteczny przeciąga się nieraz na cały tydzień świąteczny, pełny radości i używania.

Węgle kamienne zastępują już od pół wieku i drzewo i węgle drzewne, tak w maszynach parowych jako też i w kuchni i w opalaniu pokoi, we wszystkich warsztatach i wszystkich rzemiosłach. Węgle kamienne służą za gaz do oświetlenia, za rodzaj smołki do namaszczenia okrętów, za koak do wszystkich metalurgicznych działań. Co roku dobywają w Anglii 50 milionów beczek, czyli tysiąc milionów cetnarów; jest to zdobycz ogromna, która co roku wzrasta, i która też dawniej wzbudzała nieco obawy. Bano się bowiem, aby źródło tego bogactwa nie wyczerpało się kiedy, przez co-by mógł szwankować los Anglii, tak ściśle z obfitością węgli połączony. Rzecz ta tak wielkiej była wagi, że parlament nakazał śledztwo w tej mierze. Rezultat onego był zupełnie zaspakajający. Przekonano się że w Durham i w Northumberland tylko, pokłady węgli rozciągają się na 720 mil angielskich, a zatem wedle najniższego wyrachowania, mogą wydać 10 miliardów beczek (po 20 cetnarów), która to ilość mogłaby już dla potrzeb Anglii wystarczyć na lat 200. Pokłady węglane w Wales jeszcze są bogatsze. Rozciągają się one na przestrzeń 1200 kwadratowych mil angielskich, a gdy do tego odkryto w ostatnich latach, popod używanemi już pokładami, inne nowe i znaczne, możnaby węgle w Wales wyrachować na najmniej trzydzieści pięć milionów beczek. Trzy więc tylko te pokłady, wystarczą na wszystkie potrzeby Anglii przez dziewięć wieków.

Obawa zatem wyczerpania skarbów węglanych w Anglii jest zupełnie chymeryczna. Przeciwnie nawet pewną

jest rzeczą, że Anglia ma ich do zbytku nie tylko dla siebie, ale i dla reszty świata. To też rząd nie wachał się wywóz węgli z Anglii uwolnić od wszelkiego ciężaru, wyjąwszy małą bardzo opłatę. Współzawodnictwo spekulacyjne (kapitał włożony w industryją węglaną, szacują na 45 milionów funtów szterlingów,) zrobiło, że angielskie węgle stały się nadzwyczajnie tanie, i z ceną dwa i pół szylinga za beczkę, (cztery i pół grajcara za cetnar,) przedsiębiercy umieją pokryć kapitał, ryzyko i zarobek. Z tąd to pochodzi przewaga Anglii w metalurgicznej i w innych industryjach, ztąd możliwość spieniężenia własnych węgli z korzyścią, po całym świecie, i tam nawet gdzie się znajdują bogate pokłady węglane. Resztę tej przewagi przypisać należy uporządkowanemu stosunkowi wszystkich wielkich sił mechanicznych i kapitałowych. Taka kopalnia angielska urządzona jest jak zegarek. Gdzie okiem rzucić wszędzie panuje ruchawość i porządek.

Takich małych drobnych zakładów górniczych, jakich jest najwięcej w innych krajach, jakie jeszcze można zdybać w Szkocyi i Irlandyi, takich nieznajdziesz już w Anglii. Tu bowiem same tylko takie są zakłady, na których urządzenie milionów trzeba, ale które też setki tysiąców przynoszą korzyści. Otworzenie takiej kopalni, należy dzisiaj do znakomitych przedsięwzięć, które wymagają już ogromnych sił kapitałowych. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* **Drożyzna teraźniejsza.** Pociesza się wielu w tych czasach drożyzny i wojny nadzieją, iż wróci dawna taniość najniezbędniejszych potrzeb do życia. Choć ta nadzieja zdaje się być słuszną, przy bliższem rozpatrywaniu się jednakowoż maleje coraz więcej. Zbiegły się bowiem takie okoliczności, które ową nadzieję zupełnie zniweczyć mogą. Wiele się w prawdzie przyczyniły nieurodzaje przeszłoroczne i wybuch wojny do tak niesłychanych cen żywności, jednakowoż są to tylko przemijające okoliczności. Są inne, które się usunąć niedadzą a przez które znaczne zniżenie cen prawie niepodobnem się staje. I tak nasamprzód w budżetach państw europejskich bez wyjątku prawie rozchód przewyższa dochody. Z tąd coraz to większe podwyższenie podatków następuje a obywatel każdy musi daleko drożej niż przódy opłacać dobrodziejstwa pokoju i bezpieczeństwa i to, co odejmuje sobie i swoim odnosząc do kas, stara się przynajmniej częściowo tem wynagrodzić, iż ten niedobor w czystym dochodzie swoim na cenę pracy i wyrobów swoich przenosi, i większej zapłaty za nie żąda.

Co raz większe mnożenie się ludności i rosnąca z tąd potrzeba żywności jest także jedną z tych przyczyn. Z dat statystycznych przekonać się można jak szybko ludność się pomnaża. Przez zniesienie pańszczyzny i danin a z tąd usamowolenie klas pracujących i porównanie z dawnymi ich panami rozmnożyły się po wsiach i miasteczkach nieznane dawniej potrzeby a wystawność od wyższych warstw społeczeństwa przechodzi coraz więcej w niższe, choć może nie zawsze stopniami oświaty i dobrego bytu. Posiadacze i dzierzawcy rozległych dóbr ziemskich, są przymuszeni opłacać wszelkie roboty, kapitały u nas i tak zawsze rzadkie przy niespodzianej zmianie wyczerpują się. Okropne przytem w naszym szczególnie kraju musimy zrobić spostrzeżenie iż choć ludność się powiększa, rąk jednakowoż do pracy przez nędzę, lenistwo, choroby i inne przyczyny coraz ubywa.

Materyały surowe i półfabrykaty od kilku lat w dwójnasób poszły w górę. Tak n. p. skóra. Całkiem więc naturalnie, że wyroby z tychże materyałów stosunkowo w górę pójść muszą. Jednakowo szewc, który skórę o wiele drożej opłaca teraz, niż dawniej nie może tak szybko ceny wyrobu podwyższyć jak garbarz, który surowe skóry kupuje i je de wyrobów szewca przyrządza. Kupiectwo zaś w oczekiwaniu pomyślniejszego zbiegu okoliczności ociąga się czas niejaki z podwyższeniem cen towarów. Kupujący pojąć tego podrożenia i przyjąć niechcą, przyzwyczajeni artykuły potrzebne po pewnej cenie dostawać. Powoli tylko przyzwyczają się do tego, gdy ich potrzeba zmusza. To podrożenie wszystkiego trąca o upor kupujących. Wysoka atoli z konieczności cena choć może aż po latach, ustalić się nakoniec musi, a raz przyjętej już nie tak łatwo zniżyć.

Ale nie każdy może szukać w podwyższeniu cen pracy i wyrobów swoich wynagrodzenia za to, co on drugim drożej niż wprzódy opłacać musi. Urzędnik, żołnierz, artysta nie może tak podwyższać wynagrodzenia za pracę swoją, jak je podwyższa zarobnik, stosunkowo do coraz droższych potrzeb życia. Ich to najsrożej dotyka drożyzna teraźniejsza i dla nich w tych czasach gdzież ulga, jeśli nie w mądrej oszczędności i powściągnieniu się w wydatkach, które nie są nieodzownie potrzebnemi?

Piękne żniwo i szczęśliwe zakończenie wojny z Rossyą zniży niesłychaną drożyznę teraźniejszą, ale całkiem jej nie usunie i daremnie mamić się nadzieją powrotu dawnych czasów. Każdy zdaje się nam, może sobie na podstawie wyżej napomknionych przyczyn wyjaśnić i powinien przyjść do przekonania, że owe tanie czasy nie wrócą, a czas teraźniejszy tyle przykry, jest przechodem do lepszych czasów. Przemysł i wyrobnictwo się powiększy, gospodarstwo się ureguluje, wychowanie będzie praktyczniejsze i zrówna się ów rażący niestosunek posiadaczy i pracujących. Drożyzna teraźniejsza może mieć dla nas wiele dobrego, może posłuży ku podniesieniu ekonomii narodowej. Słusznie to Franklin rzekł, iż największem nieszczęściem społeczeństwa europejskiego są niskie ceny najmu. Gdzie najm niski tam stagnacya. Ucziszą się skargi teraźniejsze, gdy podwyższania cen we wszystkich gałęziach wyrobnictwa i przemysłu, stosónkowo będą przeprowadzone. Zaczem pójść musi i konieczna reorganizacya pensyj urzędników. Wprawdzie może przechód być dłuższy i przykry. Dla tego teraz, gdy inaczej zaradzić nie można, starajmy się ten dokuczliwy przechód z czasów tanich do dobrych ulżyć sobie przez dobre gospodarstwo i oszczędność.

* Donieśliśmy już dawniej o rozpoczęciu robót około indemnizacyi i że komisyje mianowane, zjechały się do Lwowa dla przypatrzenia się pierwszym pracom w obwodzie Lwowskim, którym kierował JW. pan Wiceprezydent Kalchberg. Gazeta Lwowska podaje rezultata tych robót uskutecznionych prawie w pierwszym tygodniu: „Przejrzano i zrektyfikowano 84 operatów meldunkowych z 50 korpusami tabular nemi i 55 gminami. Zlikwidowano 3290 pozycyj poddańczych, 960 emfiteutycznych i 802 laudemiów. Przyznana wartość roczna wynosi 47,417 złr. 56 kr.; z tego przypada za osypy 2047 złr. 51 kr., za pańszczyznę 36,754 złr. 36 kr., za czynsze 8615 złr. 28 kr. Liczba otaxowanych dni pańszczyźnianych wynosi 130,618 dni ciągłych i 94,876 pieszych. Obliczony kapitał indemnizacyjny wynosi 576,347 złr. 54 kr., z czego na kasę krajową przypada ciężarem 516,761 złr. 50 kr., a na emfiteutów 59,586 złr. 4 kr. Pozostałe z czasu od 15. maja do 1. listopada 1848 restancye wynoszą 11,839 złr. 11 kr."

«Rezultat ten, który ze względem na zachodzące stosunki uważać można w przecięciu za pracę jednego tygodnia, niechaj posłuży za skazówkę i miarę dalszego pospiechu tyczących się prac likwidacyjnych. Ktokolwiek tylko miał sposobność przekonać się o gorliwości i zdolności członków w komisyi tudzież o dobrej chęci stron rozmaitych, ten zapewne wątpić nie będzie o spiesznem i pomyślnem ukończeniu dzieła.»

Wysokie cesarsko królews. ministerstwo spraw wewnętrznych mianowało kierującemi komisarzami komisyj okręgowych w rzeczach zniesienia ciężarów gruntowych w terytoryum administracyjnem Lwowskiem, następujących urzędników politycznych:

Dla obwodu lwowskiego: komisarzy obwodowych Edwarda Bauer i Edwarda Czermak; dla obwodu Złoczowskiego: Tomasza Krahl i Ludwika Nahlik; dla obwodu Brzeżańskiego: Ferdynanda Pluschk i Henryka Haganowskiego; dla obwodu Tarnopolskiego: Karola Horwath i Edwarda Erlacher de Khay; dla obwodu Czortkowskiego: Rudolfa Dunina kaw. Rzuchowskiego i dr. pr. Ludwika Kadyi; dla obwodu Kołomyjskiego: Konstantego Bilińskiego i Edwarda Langer; dla obwodu Stanisławowskiego: Ernesta Aulich i Emanuela Modes; dla obwodu Stryjskiego: Feliksa Skrowaczewskiego i Józefa Van-Roy; dla obwodu Samborskiego: Saryusza kaw. Pajączkowskiego i Eugeniusza kaw. Neuberg; dla obwodu Sanockiego: Józefa Haidmann i dr. pr. Karola Seelig; dla obwodu Przemyślskiego: Ferdynanda Kramer i Wilhelma Friedberg; dla obwodu Żółkiewskiego: Juliusza Schumann i Romana Blauth.

Komisye okręgowe działania swoje dnia 17. b. m. rozpoczęły:

W obwodzie Lwowskim: w okręgach podatkowych Lwów i Gródek; w obwodzie Złoczowskim: Złoczow i Brody; w obwodzie Brzeżańskim: Kozowa i Rohatyn; w Tarnopolskim: Tarnopol i Mikulińce; w Czortkowskim: Husiatyn i Zaleszczyki; w Kołomyjskim: Kołomyja i Gwoździec; w Stanisławowskim: Stanisławów i Bohorodczany; w Stryjskim: Stryj i Bolechów; w Samborskim: Sambor i Rudki; w Sanockim: Sanok i Lisko; w Przemyskim: Przemyśl i Krakowiec; nakoniec w obwodzie Żółkiewskim: Żółkiew i Kulików.

Przyjechali od dnia 19. do 20. lipca do Lwowa:

PP. Petrykiewicz Andrzej, z Bolechowa. Leligdowicz Mikołaj, z Glińska. Serwatowski Wojciech, z Żółkwi. Lipiński Gustaw, z Orłowa.

PP. Obertyński Leopold, z Stronibab. Stefanowicz Mikołaj z Kutkorza. Ruebenbauer Henryk, z Sieniawy. Bierzecki Konstanty, z Przemyśla. Bocheński Wiktor, z Lubienia. Maryański Karol, z Rzeszowa. Chwalibóg Jan, z Lipowca. Dolański Józef, z Komarna.

Wyjechali od dnia 19. do 20. lipca ze Lwowa:

PP. Wojnarowski Antoni, do Stryja. Kleczkowski Franciszek do Skomoroch. Nahojowski Antoni, do Czernicy.

PP. Baworowski Wiktor hr., do Strussowa. Poten Fryderyk, do Łahodowa. Paszyński Julius, do Przemyśla.

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	123¾.	Medyolan za 300 lirów	121¾.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	145¾.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	123.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	24.
Genua	—.	Pożyczka 5% 83 7/16.	4½ 73⅝.
Hamburg za 100 tal. banco.	91¾.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	1253.
Liwurno	—.	Kolej północna	1670.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 3.	Obl. ind.	5%. —

Kurs lwowski. Dzisiejszy.

		Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr.	5 kr.	50	złr. 5 kr.	54.
Dukat cesarski	"	5 "	54	" 6 "	—.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10 "	20	" 10 "	24.
Rubel srebrny rosyjski	"	1 "	57	" 1 "	59.
Talar pruski	"	1 "	50	" 1 "	54.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1 "	26	" 1 "	27.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92 "	50	" 93 "	10.

Lwów 21. lipca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 26 złr. 30 kr. Jęczmienia po 17 złr. 15 kr. do 18 złr. — kr. Owsa po 17 złr. — kr. do 20 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 6 złr. — kr. do 7 złr. 45 Sąg drzewa bukowego 25 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 19 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 18 kr. do złr. 2 kr. 40. Centnar słomy 1 złr. 21 kr. do 1 złr. 36. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 53 kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**